



Zbigniew Blukacz
tylko malarstwo

Zbigniew Blukacz

urodzony w Pankach w 1961 roku. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach w latach 1981–1986; dyplom w pracowni projektowania graficznego prof. Adama Romaniuka i pracowni malarstwa prof. Jacka Rykały (1986). W 1988 roku rozpoczął pracę pedagogiczną w macierzystej uczelni, gdzie obecnie prowadzi Pracownię Malarstwa III. Profesor zwyczajny, autor 23 wystaw indywidualnych i uczestnik ponad 160 wystaw zbiorowych.

zbigniewblukacz.pl





Zbigniew Blukacz · *Optyka pamięci* · olej, płótno, 140×180, 2015

Od autora

Chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami, związanymi także z tą wystawą, prezentowaną w Galerii Bielskiej BWA. Na przykład, że właściwie to nie jesteśmy pewni nawet najbliższej przyszłości, a „teraz” składa się z tego, co przed chwilą było. Pewna jest tylko przeszłość. Wizerunek znanej nam rzeczywistości jest zbudowany przez pamięć. Obraz malarski też jest zbudowany przez pamięć. W takim razie, czy obraz przywołany z pamięci zawsze jest taki sam, czy jest jednorodny, jak np. fotografia? Czy jest prawdziwy? Co to znaczy, że jest prawdziwy lub nie? Czy w takim razie istnieje rzeczywistość nie zmyślona?

Niebo, morze, drzewa, przestrzeń pól istniały, gdy jeszcze nie było naszej cywilizacji, gdy nie było nas. To świat, który nas przyjął i który nas odrzuci, jeżeli na czas nie zmańdrzejemy. Penetrowany przez artystów przez setki, tysiące lat, z pozoru archetypiczny, oczywisty, a obserwowany w większym skupieniu: niepowtarzalny, wielokrotny, nieskończenie bogaty, zachwycający. Przecież na zwykłej łące rosną prawdopodobnie wszystkie możliwe równania matematyczne.

Pamięć, jak i nasze doczesne miejsce, wyznaczają ramy naszego istnienia. Słynne równanie kosmologiczne Drake’a wskazuje, że w danym momencie we wszechświecie istnieje równoległe ok. 5 mln inteligentnych cywilizacji. Jest i inna teoria. Badania i symulacje komputerowe doprowadziły grupę szwedzkich naukowców do wniosku, że jesteśmy wyjątkowi. Planeta o takich parametrach jak Ziemia, pozwalających na powstanie życia, zdarza się wg tego modelu raz na 700 trylionów przypadków, czyli kilka razy więcej niż liczba istniejących potencjalnie planet. Istnienie Ziemi w tym modelu to skutek pewnej drobnej anomalii, która – statystycznie rzecz biorąc – nigdy nie powinna się wydarzyć.

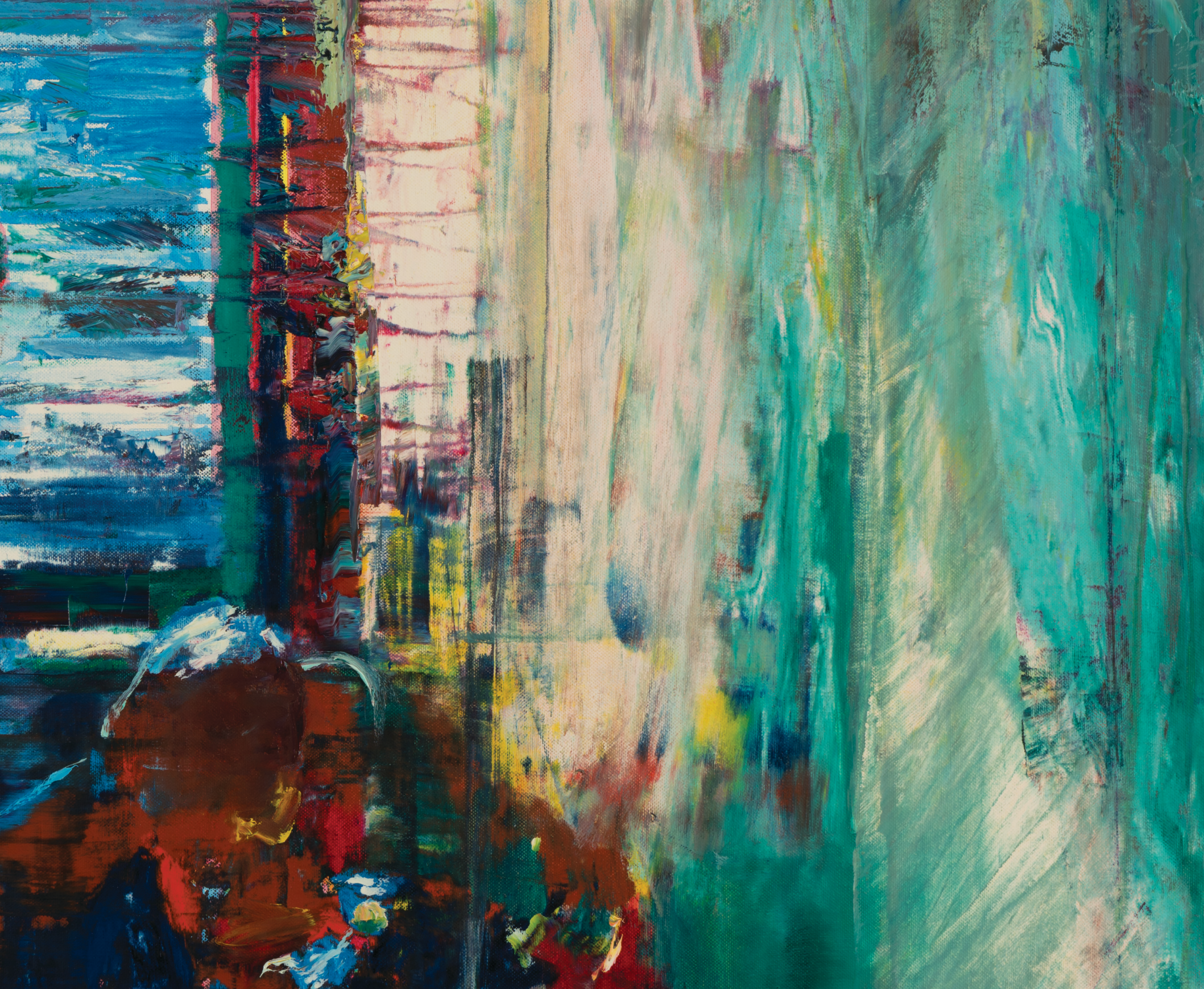
Zbigniew Blukacz

*Optyka
pamięci*





Zbigniew Blukacz • *Optyka pamięci (Agnieszka i Sonia)* • olej, płótno, 140×200, 2015















Zbigniew Blukacz · *Optyka pamięci (Agnieszka i Paulina)* · olej, płótno, 130×180, 2016





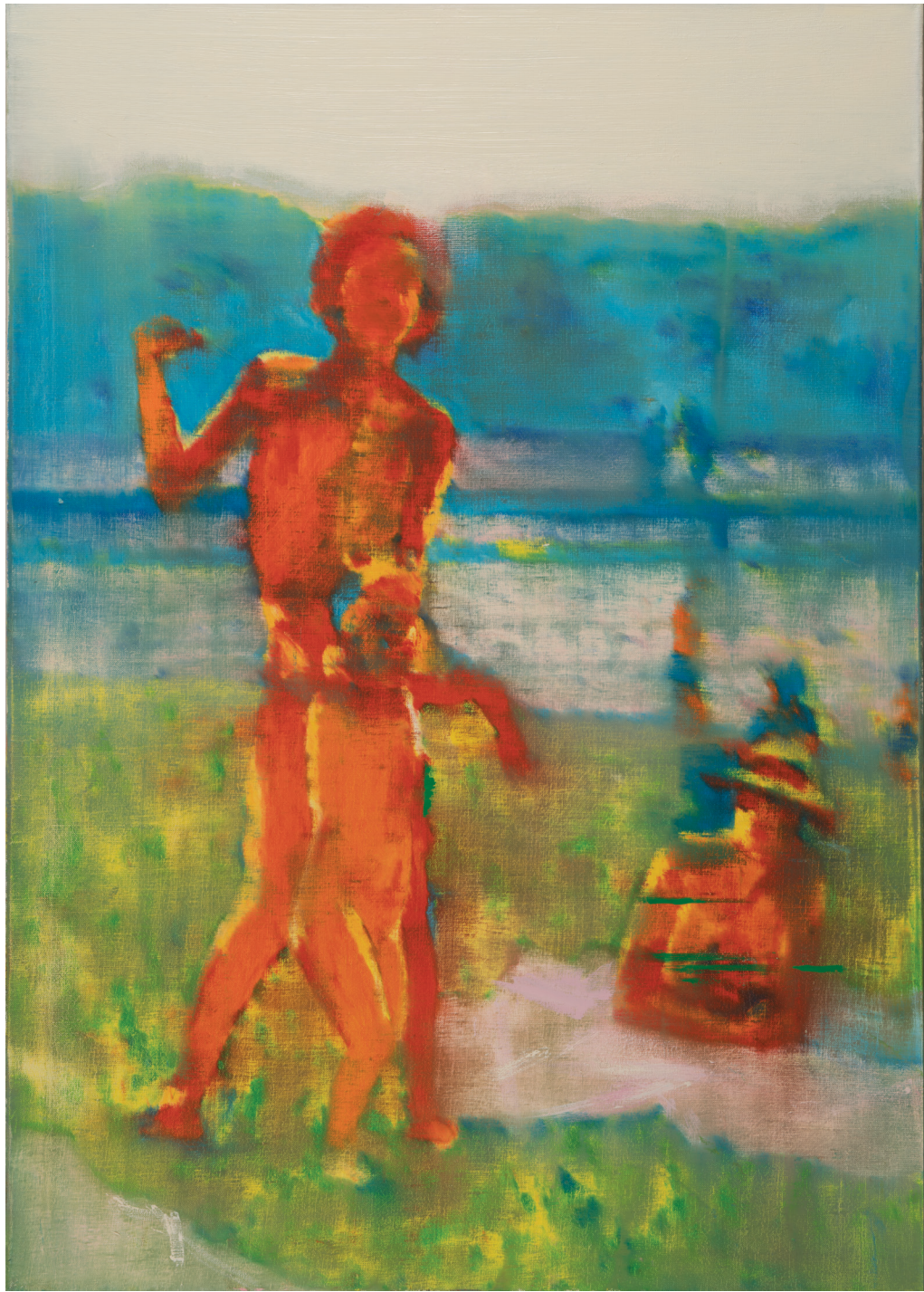
Zbigniew Blukacz • *Optyka pamięci (Selfie)* • olej, płótno, 140×180, 2015



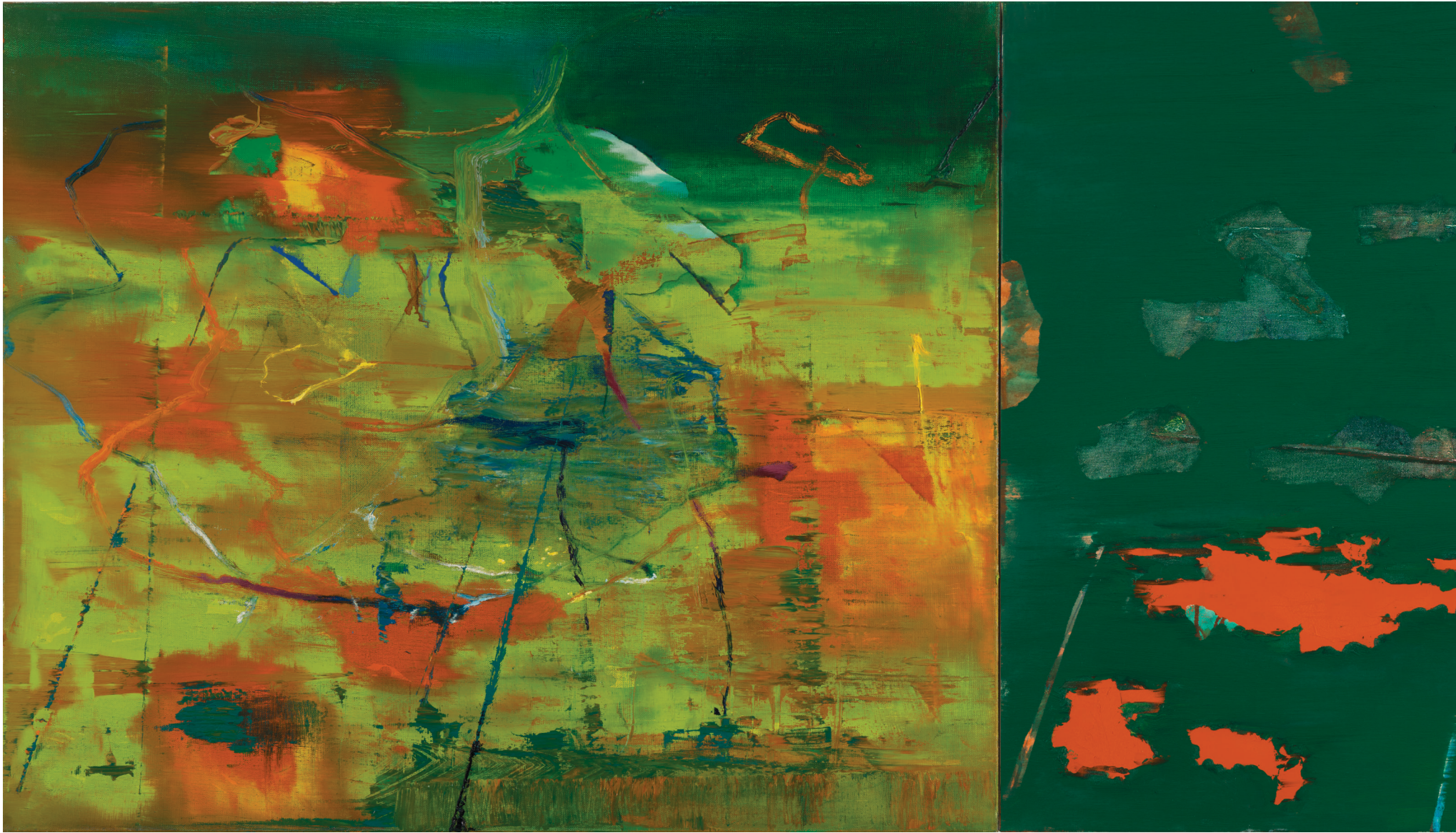


Zbigniew Blukacz • *Optyka pamięci (Agnieszka, Sonia i Gosia)* • olej, płótno, 160×190, 2015





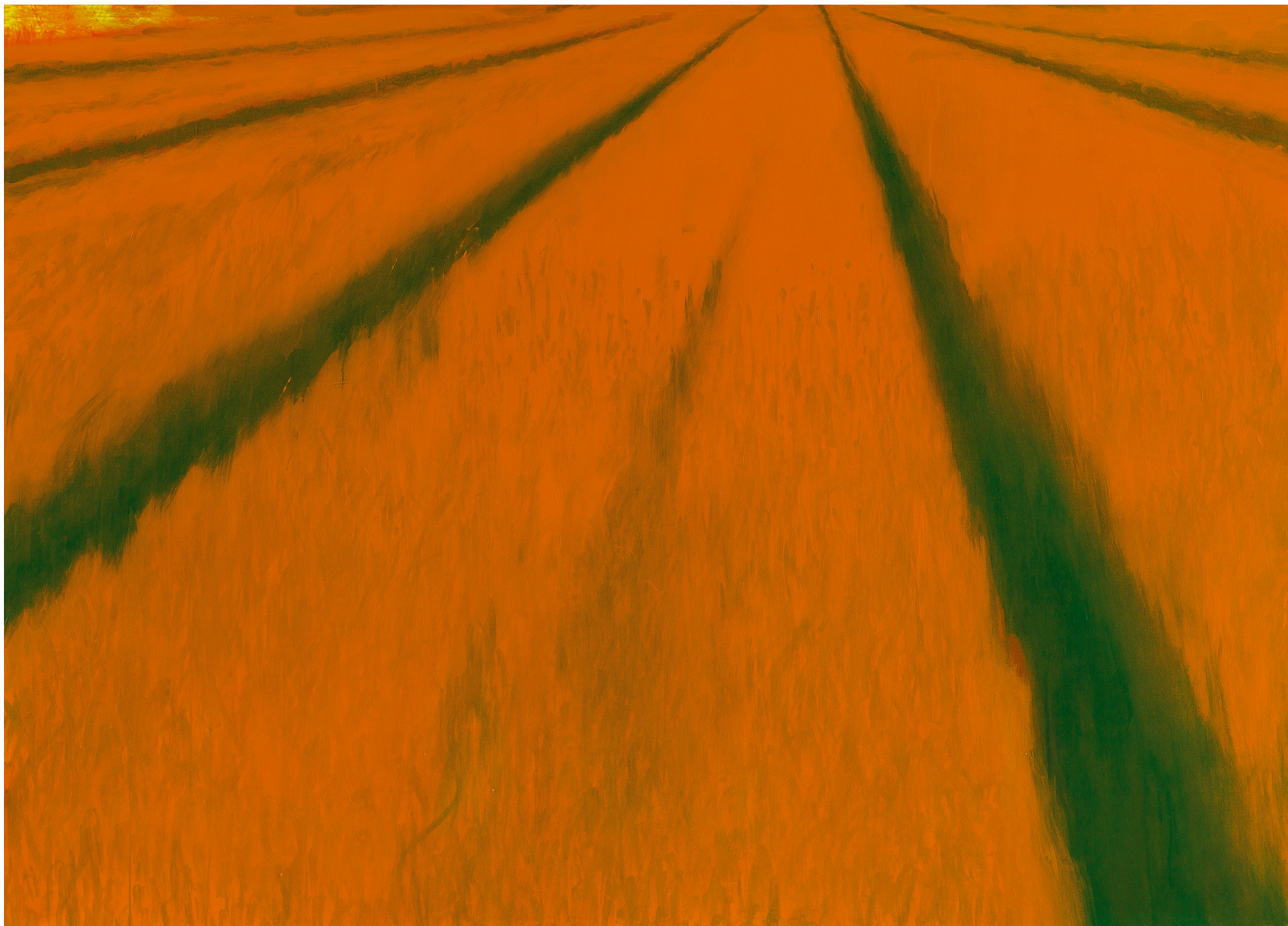




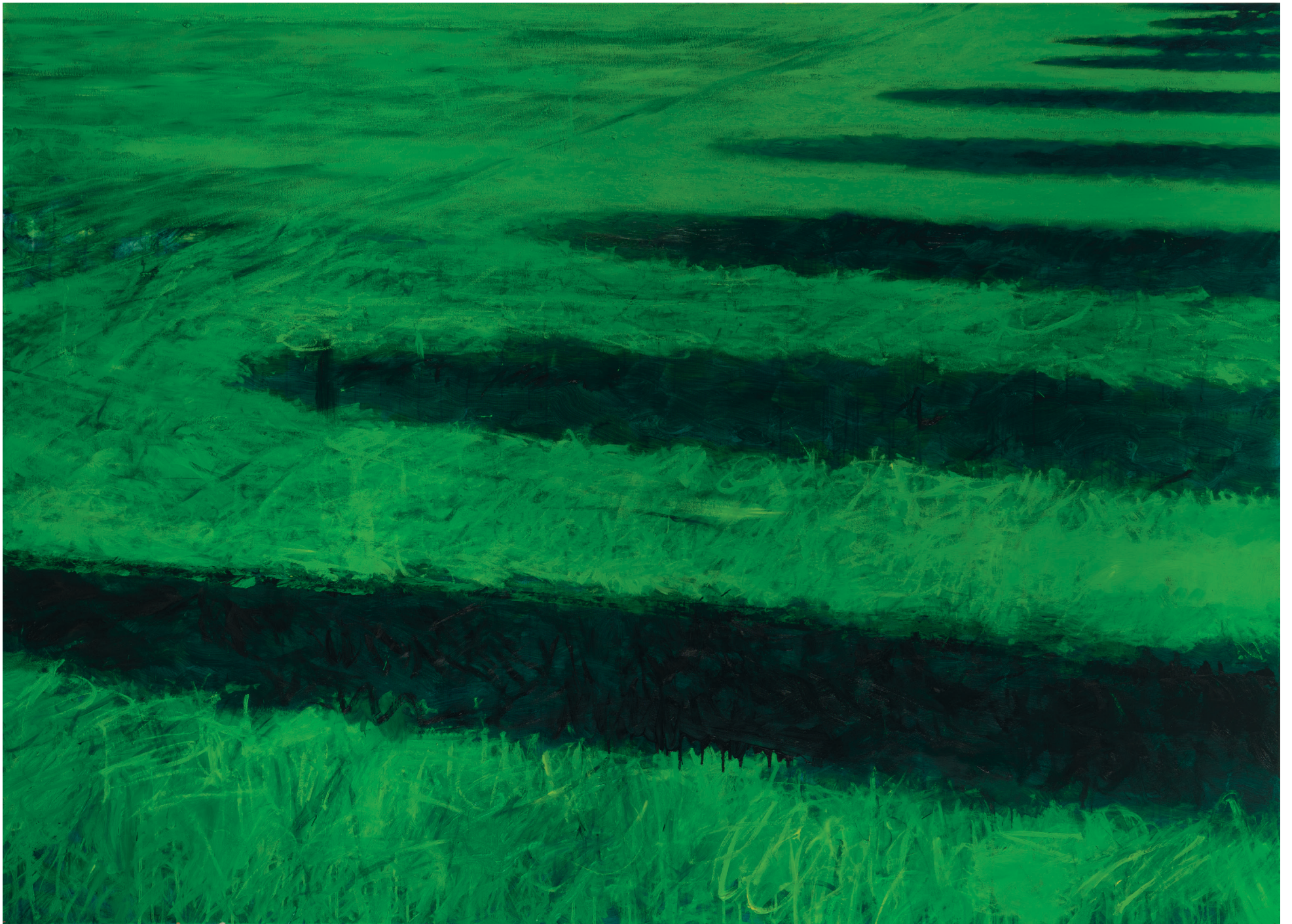


「
Archetypy
pejzażu
」





Zbigniew Blukacz · *Archetypy pejzażu* · olej, akryl, płótno, 170×240, 2010





Zbigniew Blukacz · *Archetypy pejzażu* · olej, akryl, płótno, 170×235, 2016





Zbigniew Blukacz · *Archetypy pejzażu* · olej, akryl, płótno, 170×235, 2016



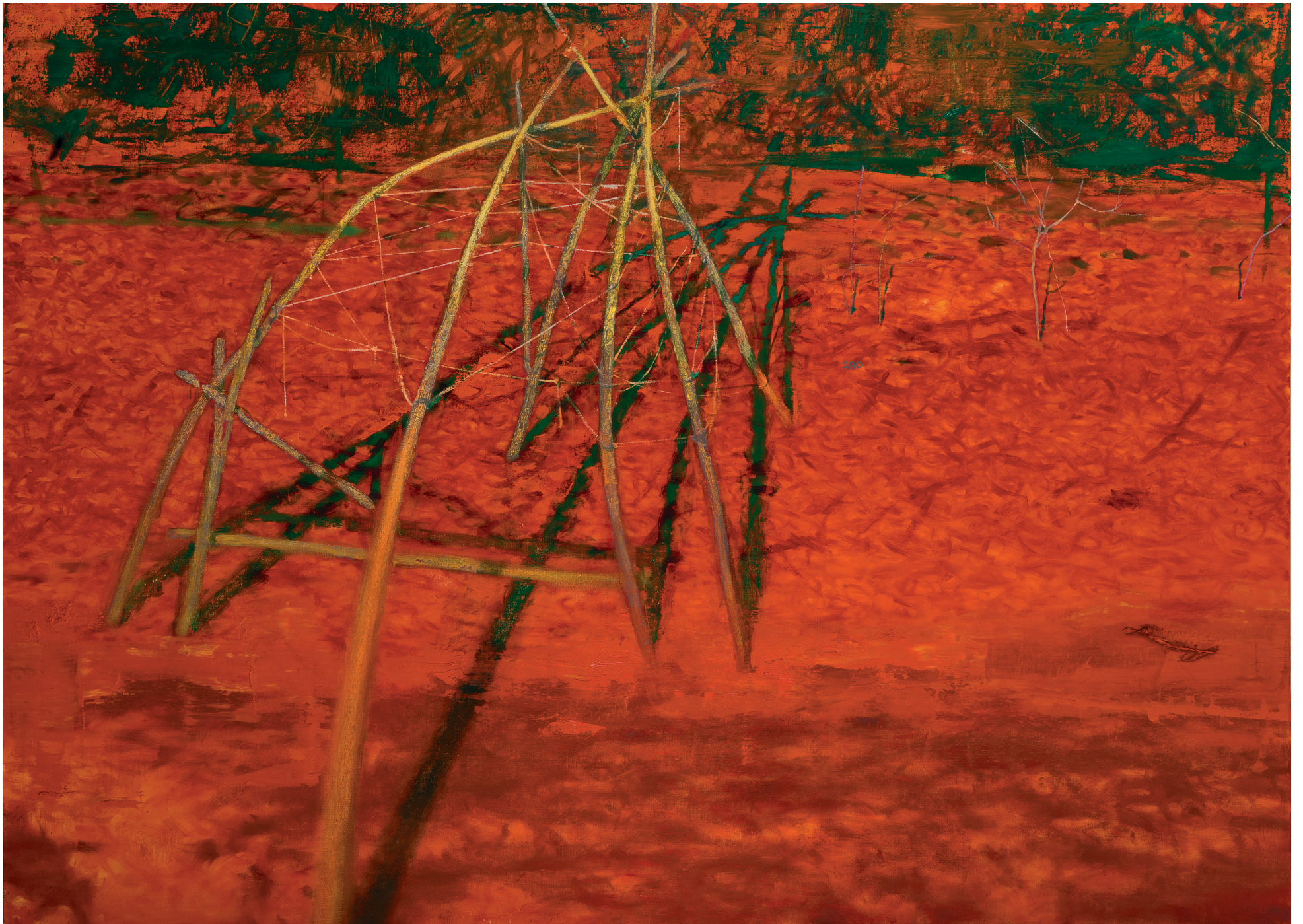


Zbigniew Blukacz · *Archetypy pejzażu* · olej, akryl, płótno, 170×235, 2015









Zbigniew Blukacz · *Archetypy pejzażu* · olej, akryl, płótno, 170×235, 2017

Krzysztof Stanisławski

*Lustra nieba –
nie tylko o malarstwie*

Zbigniewa Blukacza

Jest prawdopodobnie jednym z najlepszych malarzy w dość licznej grupie polskich artystów mniej znanych i mniej docenianych w skali kraju, rzadko wykraczających poza swój region, nie dbających ani o szerszą popularność i aktualność w odniesieniu do mód czy wiodących tendencji, ani o pozycję w polskich czy zagranicznych rankingach. Z perspektywy Warszawy, a cóż dopiero Paryża, Londynu, Berlina czy Nowego Jorku, jest właściwie niewidoczny. Co bardzo martwi, choć w pewnym sensie jest efektem własnego wyboru artysty, który działa „z dala od przestrzeni publicznej”, co sam wyznał, tytułując tak swoją wystawę w chorzowskiej Galerii MM w 2010¹.

¹ Zbigniew Blukacz, „Z dala od przestrzeni publicznej”, Miejska Galeria MM, Chorzowskie Centrum Kultury, Chorzów 2010.

Ponad blask popularności czy uznania mas Zbigniew Blukacz stawia, jak się wydaje, własny spokój i kultywowaną potrzebę rozwijania osobistych tematów czy mitologii.

Grupa artystów „niewidocznych”, o której wspomniałem wyżej, jest dość liczna. Stanowi, w moim odczuciu, pewną rezerwę, ale i bazę, na podstawie której można formułować ogólne oceny wartości i poziomu polskiej sztuki współczesnej². To nie „gwiazdorzy”, nie „kominy” z najlepszymi notowaniami, spektakularnymi sukcesami krajowymi i zagranicznymi, wysokim poziomem cen za prace, nagrodami i grantami, stanowią o kondycji naszej sztuki, lecz właśnie ów trzon, nie dość widoczny i hałaśliwy. W większości przypadków to nauczyciele akademicki, najczęściej już profesorowie uczelni artystycznych, którzy swoją twórczość dzielą z nauczaniem, co dodatkowo sprawia, że nie mają zbyt dużo czasu, ani ochoty na autopromocję lub zabieganie o aplauz, co, jako profesorów, mogłoby ich razić i najczęściej razi. Podobnie zabieganie o granty, nagrody i wystawy, częściej zostawiają je młodszymi. To również ma niebagatelny, niestety negatywny, wpływ na utrwalanie ich pozycji. Na pewno rynkowej i medialnej.

Gdyby patrzeć na sztukę wyłącznie poprzez pryzmat rynku, można by stwierdzić, że takie outsiderskie działania są wręcz wyrazem braku profesjonalizmu. Bo przecież liczy się rozpoznawalność,

2 Gdy w 2014 zostałem zaproszony, jako kurator, przez Galerię Miejską we Wrocławiu, do przygotowania wystawy o pierwotnym tytule „Zapomniana generacja”, na jaki nie mogłem się zgodzić, jako zbyt niesprawiedliwy, pejoratywny i nieprawdziwy (w rezultacie przyjęliśmy tytuł „1990” od daty debiutu zaproszonych twórców), zdecydowałem się stworzyć wystawę sztuki twórców właśnie z grupy „mniej znanych i uznanych”. Jak się okazuje to grupa niezwykle liczna, różnorodna, wartościowa, trzon kadry profesorskiej polskich ASP. Zaprosiłem do projektu wybitnego malarza z Gdańska Krzysztofa Gliszczyńskiego, warszawskiego rzeźbiarza Sylwestra Ambroziaka, malarza wrocławskiego Igora Wójcika oraz dwóch Ślązaków: Ireneusza Walczaka i Zbigniewa Blukacza. Wystawa została przyjęta jako rewelacja, gdyż pokazywała twórczość artystów nienotowanych na listach rankingowych, naprawdę mniej znanych, ale znakomitych. Wrocławka publiczność potrafiła to docenić.

katalogi, pliki recenzji, notowania aukcyjne i prace w kolekcjach, wystawy, jak najwięcej wystaw w jak najbardziej prestiżowych miejscach etc. etc.

Mówimy więc o wyborze drogi samodzielnym, ale i wymuszonym przez okoliczności.

Miejmy nadzieję, że stan zapoznania i niedoceny, z jakim przyszło żyć Zbigniewowi Blukaczowi właściwie od samego początku jego drogi twórczej, zmieni się wraz z wystawą w jednej z najważniejszych dla polskiej sztuki współczesnej galerii, w Bielsku Białej, gdzie wciąż, jak można przypuszczać, wierzy się w malarstwo i wciąż, pomimo zmiennych ocen, czy ten rodzaj sztuki ma dziś w ogóle sens, odbywają się „Bielskie Jesienie”, wiodący konkurs malarski w naszym kraju.

Nadzieję napawa również fakt, że renomowane wydawnictwo „Arkady”, przygotowujące album poświęcony tradycji polskiego malarstwa pejzażowego od czasów najdawniejszych do dzisiaj, poprosiło artystę o dostarczenie reprodukcji jednej ze swoich prac.

Zanim jednak Zbigniew Blukacz stanie się „nowym objawieniem” (niech choćby cudzysłów złagodzi to dziwnie brzmiące i staroświeckie sformułowanie) naszego malarstwa współczesnego, choćby tylko na czas bielskiej ekspozycji, czego mu serdecznie życzę, przypominę, że stałoby się to – jeśli miałyby się stać – ponad ćwierć wieku po jego debiutanckiej wystawie w BWA w Bytomiu i w tym samym przełomowym roku 1990 w Düsseldorfie, a więc można by rzec, że lepiej, iż staje się to (jeśli się staje), nawet późno, niż wcale.

A więc zanim dojdzie do „objawienia”, przypomnieć wypada, choćby w skrócie, całą, dość długą, pełną uniesień, ale przede wszystkim mozolnej, systematycznej pracy, drogę młodego artysty urodzonego w Pankach, niedaleko Częstochowy, ale od czwartego roku życia związanego z Górnym Śląskiem, drogę od pilnego uczestnika zajęć koła plastycznego w sosnowieckim domu kultury do prowadzącego

własną pracownię malarstwa profesora katowickiej Akademii Sztuk Pięknych.

W Wikipedii na stronie „Panki”, opisującej historię nieistniejącej już huty, działającej w tej miejscowości od XIV wieku i niegdyś jednej z największych w regionie, gdzie odlewano m.in. armaty dla klasztoru jasnogórskiego, w zakładce „Sławni ludzie urodzeni w Pankach” Zbigniew Blukacz jest wymieniony w grupie czterech osób: malarza, prawnika i profesora historii Uniwersytetu Jagiellońskiego³. Jego nazwisko widnieje także, rzecz jasna, w znacznie liczniejszej grupie „Ludzi związanych z Katowicami”⁴. Oczywiście, Wikipedia nie jest obiektywnym i w pełni rzetelnym źródłem wiedzy, jednak można na jej podstawie wysnuć wnioski, że jest Blukacz artystą w swoich rodzinnych stronach uznanym i docenianym. Związane jest to z jego dorobkiem wystawienniczym, pracą pedagogiczną, nagrodami i wyróżnieniami.

Bo zanim przygotował swoją pierwszą wystawę indywidualną w Bytomiu i Düsseldorfie, o czym już wspomniałem, odniósł kilka spektakularnych sukcesów w skali ogólnopolskiej: na wystawie „Dyplom 1986” w łódzkim BWA w 1987 otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, na poznańskim Konkursie Malarstwa im. Jana Sychalskiego (notabene wybitnego pejzażysty), zdobył aż dwa trofea: pierwszą i drugą nagrodę, na radomskim Salonie Zimowym wyróżnienie, a na wystawie „Wspólnota” w Muzeum Diecezjalnym w Katowicach – nagrodę w dziedzinie rysunku.

Nieczęsto zdarzają się tak udwane debiuty. A Star was Born? Wtedy mogło to tak wyglądać, zwłaszcza, że w następnych latach przybawało wystaw i wyróżnień w dossier artysty.

³ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Panki>.

⁴ https://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Kategoria:Ludzie_zwi%C4%85zani_z_Katowicami&pageuntil=Pi%C4%85tek%2C+Przemys%C5%82aw%0APrzemys%C5%82aw+Pi%C4%85tek#mw-pages.

Czy zmienia to wyrażoną powyżej opinią, że jest w gruncie rzeczy prawie nieznan i mało doceniany w szerszej perspektywie? Niestety nie. A jeśli nie, to dlaczego? Wszak lista nagród i wystaw jest imponująca.

Przyczyny miały podłoże zasadnicze, chciałoby się rzec, obiektywne, związane z czasem i miejscem, jak w tragedii greckiej. Jak zwykle bywa w takich razach, artysta nie miał właściwie wpływu na rozwój wypadków, choć robił wszystko według sprawdzonego scenariusza, wypróbowanego przez pokolenia jego nauczycieli...

Zacznijmy od czasu.

Ukończył studia w 1986 roku, a więc w okresie, gdy Nowa ekspresja dopiero ukazała swoje oficjalne oblicze na wystawie „Ekspresja lat 80-tych” (pisownia oryginalna) w BWA w Sopocie. Była to wielka nowa fala, która ułatwiła kariery całemu pokoleniu malarzy. Blukacz spóźnił się trochę, by zostać „nowym dzikiem”. Ale z drugiej strony ten styl za bardzo go nie interesował, choć niektóre wczesne prace, zwłaszcza rysunki, można by posądzić o „dzikość”.

Miał bratać się generacyjnie z młodzieżą malarską z całej Polski w ramach Nowej ekspresji, wybrał bardziej konserwatywną drogę – uznanych ogólnopolskich konkursów, które zresztą udało mu się wygrać lub zdobyć na nich wyróżnienia. Ale, niestety, odwrotnie proporcjonalnie do jego sukcesów, mało znaczenie tych imprez, o których dziś prawie nikt już nie pamięta.

W dodatku był malarzem, który na dobre zaistniał wystawami indywidualnymi już w czasach multimedialnej sztuki krytycznej, która, tak jak w drugiej połowie lat 80. Nowa ekspresja, skolonizowała umysły młodych artystów, kuratorów i publiczności na początku lat 90.

A teraz przenieśmy się o ponad 10 lat, do czasów, gdy „malarstwo powróciło”, ok. 2005 roku w Europie i na świecie, a u nas

oczywiście z poślizgiem o rok czy dwa, gdy do gry na arenie sztuki weszła młodsza generacja, z Wilhelmem Sasnałem, jako symbolem tej przemiany, reprezentującym malarstwo bliższe transawangardzie, czyli Nowej ekspresji, w wydaniu np. Gruppy. Zgoda, że znakomite, ale mimo wszystko łatwiejsze, płaskie, reportażowe.

I to ono spodobało się, zyskało niemal natychmiastową akceptację na całym świecie. U krytyków, kuratorów i kolekcjonerów. Trzy razy K. A w pełni dojrzałe, głębokie, wielowarstwowe malarstwo takich twórców, jak np. Zbigniew Blukacz znów (ok, po raz drugi) okazało się *de mode*.

Ale dziś, gdy malarstwo znów odchodzi w cień, a tacy artyści, jak Sasnał, sami dyskredytują swoje osiągnięcia malarskie, poświęcając się twórczości filmowej, niestety nie najwyższych lotów, być może nadejdzie czas nowej szansy dla mistrzów takich jak Blukacz, którzy ze swojej outsiderskiej postawy nareszcie uczynią oręż zwycięstwa nad modami i krótkotrwałymi stylami. A nawet jeśli nie zwyciężą, to przynajmniej obronią swoją inność i wartości, w które wierzą sami i ich wierna publiczność...

A teraz miejsce.

Pisałem już, że samo umiejscowienie w Polsce skazuje niejako artystę na ogromne trudności w podejmowaniu prób szerszego zaistnienia ze swoją sztuką, a właściwie przekreśla je. A umiejscowienie na Śląsku jeszcze pogłębia tę niekorzystną sytuację.

To oczywiście żadne odkrywanie Ameryki i było oczywiste dla młodego artysty, kończącego z wyróżnieniem studia w katowickim oddziale krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Stąd początkowy pęd do ogólnopolskich i zagranicznych wystaw w karierze Blukacza. Może na początku lat 90. XX w. miał on nawet trochę za dużo wystaw, ale to normalne u młodego twórcy, który pragnie zmierzyć się z różnorodnymi odbiorcami. Niestety jednak, pomimo podejmowania prób także za

granica, również na targach sztuki, zaznaczyła się dość szybko wyraźna tendencja do ograniczania przez niego aktywności wystawienniczej głównie do Górnego Śląska, gdzie miał już ustaloną renomę i wypróbowaną publiczność... Nie wiem tylko, czy był to świadomy czy podświadomy wybór osobisty, czy też po prostu reakcja na przychodzące zaproszenia...

Szansą na dobrą promocję i rozwój Zbigniewa Blukacza i całego pokolenia młodych artystów Górnego Śląska na początku lat 90. była działalność dwojga ludzi – kuratorów, dobrych fachowców w swoich dziedzinach, zapaleńców i w dodatku lokalnych patriotów, którzy promocji śląskich artystów poświęcili wiele sił i czasu. Mowa o wicedyrektorze katowickiego BWA Jarosławie Świerszczu i pracującej niegdyś w tym samym BWA, ale od początku lat 90. działającej w Niemczech, Dorocie Kabiesz. Jarek pisał i organizował wystawy w BWA i za granicą, Dorota sprzedawała prace Ślązaków w swojej prywatnej galerii w Düsseldorfie. Czasem łączyli siły.

Największym osiągnięciem Świerszcza, które powinno mu przynieść ogromny i złoty medal zasługi (i niewykluczone, że przyniosło) była wystawa „Czarna dziura” (znakomity tytuł, zwłaszcza że wymyślony przez Ślązaka, opatrzony został podtytułem rodem jakby z PRL-u: „Młoda plastyka katowicka”). Debiutujący kurator dokonał wyboru artystów, który początkowo spotkał się z dużymi oporami środowiskowymi, ale ostatecznie ukształtował grupę najciekawszych indywidualności. Jego wybór prawie w stu procentach, no może dziewięćdziesięciu, sprawdził się i jest aktualny właściwie do dzisiaj. Oczywiście jednym z uczestników był Zbigniew Blukacz, a jego prace wzbudziły duże zainteresowanie w Katowicach i Dachau, gdzie wystawę później przeniesiono.

Malował wtedy „księżycowe”, surrealizujące pejzaże, na wpół abstrakcyjne, choć zaludnione fantastycznymi postaciami, nierzadko

ulatującymi, jak Ikar, lub podróżującymi napowietrznymi, uskrzydłonymi pojazdami, unoszącymi się ponad rozwieszonym na sznurach praniem, w ramach malarskich reminiscencji z sielskiego dzieciństwa w Pankach. W tym rozbudowanym cyklu pt. „Ikariada” (prace najstarsze, malowane od 1986) często włączał w przestrzeń pejzaży również portrety rodzinne i inne, zgoła nie fantastyczne elementy, również unoszące się swobodnie w powietrzu.

Tego typu obrazy pokazywane były na obu edycjach „Czarnej dziury”, a także wystawie „Jeunes artistes polonais” w Villecroze (jednym z organizatorów i kuratorem był Świerszcz, który zaprosił do współpracy niżej podpisanego)⁵, jak również na debiutanckiej ekspozycji w Galerie Dorota Kabiesz w Düsseldorfie, rozpoczynającej blisko 25-letnią współpracę Blukacza z tą marszandką, której apogeum była indywidualna wystawa w 2008 w półprofesjonalnej, ale bardzo urokliwej Galerii Maison 44 w kamieniczce w Bazylei (obok właścicielki Maison, Ute Stoecklin, współkuratorką była Dorota Kabiesz).

Ale wracając do „Czarnej dziury”, warto wspomnieć też o „Enklawie”, stanowiącej swoiste rozwinięcie „Dziury”, z pewnym

⁵ Wystawa „Młodzi artyści z Polski” (1990) prezentowała twórców częściowo z „Czarnej dziury”, ale także zaproszonych malarzy warszawskich i wrocławskich (wybór niżej podpisanego, który napisał również tekst do katalogu). Villecroze to małe miasteczko w Prowansji, z niespełna tysiącem mieszkańców. Jego mer zaprosił wystawę do siebie, a do wybranych przez kuratora twórców dodał na własne życzenie także dwoje własnych, którzy wcale młodzi nie byli i z pewnością nie pasowali do całego pokazu: konwencjonalną rzeźbiarkę Zofię Wolską i nie mniej konwencjonalnego malarza Jerzego Wróblewskiego, co drastycznie obniżyło poziom pokazu. Nie wspominałbym o tej typowej dla optymizmu po 1989 (i kompletnie bez znaczenia) wystawie, przy realizacji której spełnienie życzenia mera w doborze artystów była bodaj najmniejszym uchybieniem, gdyby nie ciekawy i wciąż aktualny passus krytyczny Świerszcza opublikowany w katalogu (wydawnictwo towarzyszące „Czarnej dziurze” nie zawierało tak szczegółowego tekstu): „Obrazy Zbigniewa Blukacza wprowadzają nas w świat poetyckich opowieści, emocjonalnych pejzaży pełnych wspomnień, powrotów, nostalgii. Malowanych pewnie, czasem nawet z rozmachem, ale roztropnie. Widać u Blukacza dużą kulturę malarską i umiejętność unikania błędów” (Jarosław Świerszcz, wstęp do katalogu, „Jeunes artistes polonais. Młodzi artyści z Polski”, Villecroze 1990, wydawnictwo bez paginacji).

przeniesieniem akcentów w prezentacji poszczególnych twórców. „Enklawa”, zorganizowana była przez Świerszcza przy współpracy (o ile pamięć mnie nie myli) z Dorotą Kabiesz, jako impreza towarzysząca Międzynarodowym (głównie jednak obejmującym kraje RWPG, ale też np. Kubę czy Mongolię) Targom Sztuki INTERART w Poznaniu. Wystawa świetna, w dodatku pokazana nie w dość ograniczonych wnętrzach katowickiego BWA, lecz przestronnej hali Targów Poznańskich, gdzie licznie zjeżdżała publiczność kupująca dzieła sztuki, głównie z Niemiec. Dobry pomysł na pokazanie w międzynarodowym obiegu sztuki regionalnej, która świetnie się prezentowała i wzbudzała autentyczne zainteresowanie. Dobry początek, rzecz by można, gdyby nie to, że był to ostatni INTERART...

Na marginesie dodam, że do dzisiaj w naszym kraju nie powstały targi sztuki o przynajmniej zbliżonym zakresie i rozmachu. Szkoda.

Powodzenie wystaw świetnie rokowało na przyszłość. Młoda sztuka śląska zyskiwała uznanie, a przynajmniej była zauważana przede wszystkim w Katowicach, ale i w skali ogólnopolskiej oraz dzięki INTERARTOWI i pokazom zagranicznym – międzynarodowej.

Wraz z wyjazdem Świerszcza do Warszawy na stanowisko wicedyrektora Zachęty, a później do Gdyni, gdzie pracował jako dyrektor teatru i reżyser, młoda, później trochę starsza sztuka Górnego Śląska, a wraz z nią Blukacz i inni, utracili swojego zdolnego propagatora i przyjaciela. Oczywiście główne galerie i muzea wciąż działały i to bardzo aktywnie, ba, powstało wiele nowych z bardzo interesującym programem (np. Galeria Szyb Wilson), brakowało jednak i wciąż brakuje kuratora i krytyka, który byłby skutecznym rzecznikiem sztuki z tego regionu poza nim.

Jarosław Świerszcz, już jako Ingmar Villqist, powrócił w końcu na Śląsk, ale zmienił profesję i sztuką zajmuje się już tylko incydentalnie, choć zwierza się pisemnie, że nadal jest uzależniony od zapachu

farb olejnych w pracowniach artystów (w tym wypadku Zbigniewa Blukacza)⁶. Bardzo wiele zrobił dla tego środowiska i Blukacza także. Notabene wypowiadał się o nim jako o swoim faworycie. W katalogu jednej z ostatnich wystaw Zbyszka pisał: „Od początku swej drogi wciąż się zmienia, nie kręci się bezpiecznie w kółko, nie wyciska z jednego pomysłu ostatnich kropli powodu i talentu. Wyraźnie szuka. Ostrożnie. Na pewno to nie będzie ta wielka polityka wokół nas, ani jakieś inne „ważne” sprawy, bo to go nie interesuje. Raczej wyprawa w głąb siebie. To najtrudniejsze. „Trzeba mieć bardzo ważny powód, żeby namalować obraz” – mawiał Potworowski. Dobrze. Trzeba by w takim razie opróżnić większość galerii i muzealnych magazynów. A Blukacz, czy znajduję u niego ten ważny powód? Malarstwo jak oddychanie. Proste. Ucieczka Blukacza od wszelkiej „ideologii” swojego malarstwa, od próby choćby autokomentarza, perfekcyjne chowanie, kamuflowanie intencji sprawia, że to co ukryte coraz bardziej zmierza ku erupcji. Tak ja to czuję. Wtedy się zadziwimy. I ja pewnie też⁷.”

Z grubsza zgadzam się z Ingmarem w sprawie jakiegoś intrygującego „drugiego dna” płócien Blukacza i też włączam niektóre jego obrazy do mojego świata, ale na żadną erupcję bym nie czekał. To nie ten temperament i nie o to mu chodzi. To fajnie się pisze, zwłaszcza jak się jest dramaturgiem, ale w ciszy pracowni malarskiej, podczas pracy, najczęściej spokojnej, powolnej, każdy obraz jest dostatecznie silną erupcją...

Poświęciłem dość dużo miejsca na początkowy okres rozwoju artysty, gdyż obfitował on w ważne wydarzenia: wystawy, nagrody, które zdawały się wróżyć sztuce Górnego Śląska znakomitą przyszłość i powodzenie ogólnopolskie oraz międzynarodowe. Niestety, proces

⁶ Por. Villqist, „Nocny łowca”, w: „Zbigniew Blukacz. Mapy światła”, Galeria Rondo Sztuki, Katowice 2014, s. 7.

⁷ Ibidem, s. 8.

ten uległ zahamowaniu z przyczyn, o których trochę pisałem i wszystko powróciło do normy, regionalnego uspokojenia, realności. A artyści wrócili do codziennej, żmudnej i podniecającej pracy w swoich pracowniach, wystawiając tu i tam, najczęściej na Śląsku, choć oczywiście nie tylko. Większość z „potężnej gromadki”, wybranej niegdyś przez Świerszcza, podjęła pracę w Akademii Sztuk Pięknych, niektórzy zmarli. Życie toczyło i toczy się dalej, może bez fajerwerków, ale wciąż do przodu.

Zbigniew Blukacz podjął pracę w katowickiej ASP już w 1988 i przechodząc przez kolejne szczeble kariery akademickiej doszedł do dzisiejszej pozycji profesorskiej – prowadzi Pracownię Malarstwa III w Katedrze Malarstwa, Rysunku i Rzeźby.

Regularnie wystawia, przygotowując co jakiś czas (zwykle co dwa lata) nowe cykle malarskie. Niektóre zupełnie odmienne tematycznie i stylistycznie od tych znanych z poprzednich wystaw. Dla artysty te próby zmiany swojego oblicza, jak można przypuszczać, stanowią sprawdziany jego możliwości malarskich, wyraz poszukiwań nowej formy, wreszcie przygody.

Tak było w przypadku zaskakującego, impresjonistycznego cyklu „Świat według P. Weira” z końca lat 90., odnoszącego się tematycznie do klasycznego arcydzieła oniryzmu filmowego „Piknik pod Wyszącą Skałą” Petera Weira, a stylistycznie do malarstwa Renoira czy Maneta (np. „Parasolki”, 1996); także „Na plaży” (z 2000), który doczekał się kontynuacji i będzie prezentowany w Bielsku-Białej, jako forma powrotu – znów – do dzieciństwa, ale już nie własnego, lecz swoich dzieci. W pewnym momencie życia, zwykle pomiędzy pięćdziesiątką, a sześćdziesiątką, a tak jest w przypadku Blukacza, dojrzałe osobniki odczuwają przemożną potrzebę wspomnień i podsumowań. Nieczęsto udaje się te potrzeby przekuć w ważkie dzieła sztuki. Blukaczowi ta sztuka się udało.

W latach 2013 i 2014, Zbigniew Blukacz stworzył znakomity cykl „Mapy światła”, obejmujący pejzaże wielkomiejskie wyimaginowanych megametropolii oraz zwyczajne widoki z okna samochodu: tunele czy skrzyżowania, już bardziej codzienne, swojskie. Bardzo wysoko cenie tę część cyklu. Jego dopełnieniem są wizje metropolii z okien samolotu, które były prezentowane na wystawie w katowickim Rondzie Sztuki (obie części cyklu) oraz na „1990” w Galerii Miejskiej we Wrocławiu (tylko część obrazów z wizjami z lotu ptaka). Ze względów niezależnych od artysty, doszło do pewnej zbieżności samego pomysłu, choć nie konkretnych motywów, z późniejszą, ale dość agresywnie promowaną, twórczością pewnego młodszego twórcy, co spowodowało znaczną konsternację i – miejmy nadzieję czasowe – zawieszenie tego cyklu.

Na szczęście jednak wciąż, od zawsze, ale na pewno od 1999 roku, kontynuuje Zbigniew Blukacz malowanie swoich pejzaży, zdając sobie sprawę, mam nadzieję, że to jego najważniejsza droga.

Z biegiem lat elementów fantastycznych i figuratywnych ubywało, przynajmniej w głównym, pejzażowym, nurcie malarstwa Zbyszka Blukacza, krajobraz przestawał być „księżycowy”, a bliższy ziemi, konkretny, śląski, niezbyt piękny, by nie rzec: okropny, odhumanizowany, przemysłowy, jednak przedstawiany w taki sposób, jakby był cudem – może niekoniecznie natury, lecz wręcz niebiańskim. Swoistym „wynałazkiem” Blukacza, który w znacznej mierze kreuje podstawowy zręb jego indywidualnego, dojrzałego stylu jest przedstawianie odbić nieba w kałużach. Pisał artysta w katalogu wystawy „Po deszczu” (z którego zaczerpnąłem tytuł całego tego tekstu): „Po deszczu pozostają tylko kałuże – są jak lustra nieba, jak sekretne wejście do innego świata, jak przemyte rany, które niebawem się zagoją”⁸.

⁸ Zbigniew Blukacz, wstęp do wydawnictwa towarzyszącego wystawie pt. „Po deszczu”, Galeria ZPAP „Art Nova 2”, Katowice 2008, druk bez paginacji.

Blukacz zdaje się być wierny zasadzie, którą w późniejszym okresie sformułował i przez następne lata pogłębiał, odchodząc jednocześnie od surrealistycznej fantastyczności, jak i czystego abstrakcjonizmu: „Moje obrazy są abstrakcją, która do złudzenia przypomina rzeczywistość”⁹.

Pierwsze „lustrzane” pejzaże, jeśli można dziś to prawidłowo zrekonstruować, powstały na przełomie wieków, pomiędzy rokiem 1999 a 2001, kiedy artysta namalował m.in. świetny tryptyk „Kałuże” (2001). Znam te obrazy bardzo dobrze i miałem okazję dobrze im się przyjrzeć podczas tournée wystawy „Polen kommt”, której byłem współkuratorem z Dorotą Kabiesz¹⁰. Śląskie pejzaże, raz z „lustrami nieba” na rozjeżdżonej kołami ciężarówek ziemi, raz niekończące się rozjazdy kolejowe, soczycie zielone lub czerwone i oczywiście z promiennymi błękitami lub przynajmniej szarościami nieba. Te „lustrzane” pejzaże robiły ogromne wrażenie na widzach, jak pamiętam, także na mnie. Wpatrywałem się w nie i zastanawiałem, jak duże możliwości wyrazu posiada malarz, który z tak trywialnych i odpychających widoków, jak górnośląski pejzaż, wręcz symbol zniszczenia, zaniedbania, niewyobrażalnej brzydoty, co pewnie jest tylko stereotypem, ale niezbyt oddalonym od rzeczywistości, potrafi stworzyć tak zachwycające obrazy. Z lekką pomocą nieba...

⁹ Zbigniew Blukacz, cyt. za: „1990”, Wrocław 2014, s. 51.

¹⁰ Wystawa „Polen kommt” prezentowała prace dwunastu współczesnych malarzy z całej Polski, wśród nich takich sław jak Ryszard Grzyb, Henryk Cześnik, Krzysztof Skarbek czy Zdzisław Nitka. Jednak w zestawie płócien tych znakomych artystów, to prace Zbigniewa Blukacza były najczęściej zauważane i doceniane. W moim odczuciu to były chyba najlepsze obrazy Blukacza i dobrze się stało, że zostały pokazane w jedenastu miastach Niemiec: Berlinie, Aachen, Krefeld, Duisburgu, Kilonii, Bonn, Lipsku, Dreźnie, Hamburgu, Altenburgu, Bad Muskau, a na koniec w Bazylei. To zdecydowanie najdłuższy projekt artystyczny, jaki przyszło mi realizować: od maja 2005 do maja 2006 plus edycja szwajcarska pt. „Expressions polonaises. Regegnung mit Polnischer kunst” we wrześniu i październiku 2006 roku w M54 Plattform i Maison 44, gdzie w 2008 odbyła się indywidualna wystawa Blukacza.

Malarz zdaje sobie w pełni sprawę ze swoich możliwości i tym samym możliwości malarstwa. Gdy spytała go Małgorzata Malinowska-Klimek: „Czym dla Ciebie jest malarstwo?”, odrzekł zdecydowanie: „Dla mnie obrazy są przedmiotami magicznymi. Powinny być jak sytuacja, że jest kapelusz, a nagle facet wyciąga z niego czterdzieści królików. Magiczne dla mnie jest właśnie to, że obraz z płaszczyzny pokrytej farbami zamienia się w coś takiego, wobec czego nagle stajemy poruszeni lub wzruszeni. Obok jest inny, który nie działa. Dlaczego ten działa? Moim zdaniem tego się nie da nauczyć, tego się nie da opisać, nie ma na to recepty. Sam maluję już kilkadziesiąt lat i żadne recepty mi nie pomagają. Przy malowaniu każdego obrazu mam taką treść, jakbym to robił pierwszy raz w życiu. Są reguły związane z szeroko pojętym warsztatem, ale mam wrażenie, że o tym się specjalnie nie myśli. Pewne rzeczy się wie, one się odbywają automatycznie w trakcie pracy, prowadzą do jakiegoś punktu w obrazie...”¹¹.

Miło czytać, że ktoś ma treść przed namalowaniem kolejnego obrazu po 30 latach kariery, miło słyszeć, że aktorka (np. Krystyna Janda, choć mówiło o tym wiele aktorek przed nią) po 30 latach ciągłych występów też odczuwa treść przed każdorazowym pojawieniem się na scenie. I pewnie to nie tylko wyraz kokieterii. Zgoda, raczej szacunek do uprawianego zawodu (z maleńką domieszką kokieterii...).

Mnie jednak zafrapowała inna wypowiedź Blukacza, mniej krygującego się, bardziej konkretnego (choć w ramach tej samej rozmowy): „Malowanie jest sytuacją bardzo złożoną. Dla mnie istnieje coś, co nie jest ani obiektem, ani jego obiektywną rejestracją, lecz czymś, co jest pomiędzy nim, a malarzem. (...) Dla mnie matematyka obrazu, struktura, oprócz humanistycznej i tej, nazwijmy ją „romantycznej” treści jest najważniejsza. Struktura to jest to wszystko, co znajduje się

na dwuwymiarowej powierzchni, ale kiedy to jest malowane farbą, dochodzi jeszcze trzeci wymiar, czyli grubość tej plamy. Dlatego tylko w kontakcie na żywo można zobaczyć, jak wygląda obraz naprawdę”¹². Pomijając „matematykę obrazu”, „strukturę”, wstawione tu jak zasłona dymna, bo niewiele znaczące, ważne jest wyznaczenie, że malarz nie do końca wie, co maluje, że jest to niewyjaśniony, nieracjonalny proces, który umożliwia drogę od tafli wody w zwykłej, brudnej kałuży wprost do nieba...

Zbigniew Blukacz – „malarz kałuży”, jak ktoś mógłby się wyzłościwić po przeczytaniu tego tekstu, choć, jestem pewien, ewentualne pejoratywne znaczenie takiego określenia nie ma najmniejszego uzasadnienia w moim tekście, to przede wszystkim poszukiwacz prawdy i absolutu, malarskiego i życiowego. Malarstwo, traktowane poważnie i po osiągnięciu pewnego poziomu dojrzałości, daje możliwości ontologiczne, pozwala na drogę do nieba artyście i odbiorcom jego dzieł. To się zdarza, rzadko, ale jednak. I nie ma to nic wspólnego z tematem, czy malarz portretuje piękną kobietę, pejzaż Toskanii czy też śląską kałużę. Ważne, jak to robi i czy robi to na nas, odbiorcach, wrażenie.

Na zakończenie posłużę się słowami wytrawnego, jednego z najwybitniejszych w XX wieku krytyków, wieloletniego komisarza pawilonu polskiego w Wenecji, mistrza krytycznego dyskursu, który poświęcił Zbigniewowi Blukaczowi obszerny esej: „Obrazy Zbigniewa Blukacza są nam bliskie (...). Gdyż się z nimi instynktownie zgadzamy, nie myśląc o drugo-, bądź też nawet trzeciorzędnych kwestiach, takich jak przynależność do frakcji nowoczesnych czy tradycjonalistów, co jest dla odmiany symptomem dobrej sztuki: wszak nic nie starzeje się równie szybko, jak nowość, zatem dzieło, którego nowość jest

¹¹ Małgorzata Malinowska-Klimek, wywiad ze Zbigniewem Blukaczem, w: „Zbigniew Blukacz, Punkt widzenia”, Galeria Extravagance, Sosnowiec 2012.

¹² Ibidem, publikacja bez paginacji.

jedynym, bądź też głównym przymiotem, ma żywot jętki jednodniówki. Obrazy Blukacza przetrwały pierwszą próbę czasu.

Maluje pejzaże. To, jakże proste, sformułowanie wprost roi się od znaków zapytania: pejzaże, ale jakie? Wszak pejzaż może być i miejski, i wiejski, i morski na dodatek. Może być smutny i wesoły, może opiewać uroki świata, bądź jego brzydotę, może wszystko, bo ów z pozoru wąski motyw ma wprost nieograniczone możliwości wyrazu.

Pejzaże Blukacza są przesycone tzw. światłem wewnętrznym, bądź też tajemniczym światłem metafizycznym, padającym skądś¹³.

Warszawa, marzec 2017

Krzysztof Stanisławski

13 Jerzy Madeyski, tekst bez tytułu w: „Zbigniew Blukacz. Poza horyzont”, Galeria Sztuki Współczesnej BWA, Katowice 2004, s. 29. Ten sam fragment został wydrukowany także w katalogu „Polen kommt”. „Skądś”, jakież to piękne słowo, użyte przez krakowskiego mistrza krytyki. W odruchu serca chciałem, przeczytawszy je ponownie, umieścić je jako tytuł mojego tekstu. Piękne słowo, ale mogłoby, jak po namyśle stwierdziłem, być niezrozumiałe jako tytuł. To takie piękne i jakże skrótowe, określenie najskrytszych dążeń artystów, by zbliżyć się do metafizyki. Panie Jerzy, chapeau bas!

Wystawa w Galerii Bielskiej BWA, 6 kwietnia – 7 maja 2017

Kurator

Agata Smalcerz

Autor

Zbigniew Blukacz

Tekst

Krzysztof Stanisławski

Fotografie

Piotr Muschalik

Projekt graficzny

Zofia Oslisło

Korekta

Anna Cichoń

Druk

Drukarnia Archidiecezjalna, Katowice

Wydawcy

Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach

www.asp.katowice.pl

Galeria Bielska BWA

www.galeriabielska.pl

asp
katowice



GALERIA BIELSKA BWA

Katowice 2017

ISBN

978-83-65825-00-1

978-83-87984-97-7

Sponsorzy katalogu

 **Keystone
Consulting**



W swoim tekście autor odwołuje się do artykułu „Ciekawostki naukowe.
Ognisty wodospad, słuchawki szczęścia i jedyna taka Ziemia?”,
cykl „Nauka dla każdego”, Gazeta Wyborcza, 29.02.2016

